

Na giełdzie znaczków pocztowych

Afera filatelistyczna w czarnym państwie

BEZ GWARANCJI

Znacki pocztowe stanowią niejednokrotnie cel pożądanego zapałonych filatelistów. Ma się rozumieć, że chodzi tu o znaczki rzadkie, oryginalne, które posiadają wtedy wysoką wartość dla zbieraczy.

GIEŁDA ZNACZKÓW

W Paryżu, tej ruchliwej stolicy świata, tuż w pobliżu Pól Elijskich, znajduje się coś w rodzaju giełdy znaczków pocztowych. Jest to jedyna w swoim rodzaju giełda, która znajduje się pod gołym niebem. Obiekty handlu, znaczki pocztowe, umieszczone na tekturowych tabliczkach, poukładane są przeważnie na żelaznych, składanych krzesłach, które handlarze znaczków przynoszą z sobą. Niektóre kolekcje poustawiane są na ziemi, oparte o ścianę.

Ci handlarze, to przeważnie specjaliści, nieprześcignieni w swojej znajomości odmian najróżniejszych marek, to „wielcy wtajemniczeni” wiedzy filatelistycznej. Wśród sprzedawców i ich towaru pełno jest zainteresowanych, miłośników zbierania znaczków. Kręcą się, wyszukując pożądanego obiektu, którym mogliby wzbogacić swoją kolekcję. Są to niezmiernie ciekawe typy.

TYPY FILATELISTÓW

I jak się okazuje, najróżniejsi ludzie mają zamiłowania filatelistyczne. Najczęściej spotykany typ, to nudny, zgryźliwy staruszek, który długo ogląda każdy znaczek kolejno, a niejednokrotnie bardziej ciekawym okazem przygląda się przez wydobyty z kieszeni lupę. Obok takiego staruszka w zrudziałym palcu można spotkać wytwornego starszego dżentelmena w bogatym futrze, który zresztą również przez lupę bada skrupulatnie autentyczność marki.

Oprócz ludzi starszych nie brak jest także i młodych dżentelmenów, ale ci są nieliczni, albowiem młodość ma inne zainteresowania. Ale zato pokaźna ilość klientów — to młodzież szkolna. Któż będąc uczniakiem nie zajmował się gromadzeniem znaczków pocztowych?

Nie myślą jednak, że kobiety nie interesują się filatelistyką. Owszem, wśród tłumu na giełdzie marek spotkać można staruszki, wytworne, młode damy, ubrane w iście paryskim szykiem oraz studentki.

W całym szeregu takich straganów ze znaczkami znajdują się tabliczki z napisem: „Bez gwarancji”. Cóż to znaczy? Znaczy to, że sprzedawca nie bierze odpowiedzialności za autentyczność znaczka. Trzeba bowiem wiedzieć, że fałszowanie znaczków, zwłaszcza oczywiście tych znaczków rzadkich i cennych, jest bardzo rozpowszechnione i nieraz trudno jest stwierdzić, czy ma się do czynienia z oryginałem, czy też nabywa się fałszykat i to nabywa się za wysoką cenę, gdyż niektóre znaczki, te oczywiście najrzadsze, dosięgają cen tysięcy franków.

Ma się rozumieć, że jeśli chodzi o nabycie takiego „białego kruk”, poddaje się go bardzo ścisłemu oględzinom. Przede wszystkim więc ogląda się przez lupę, bada się zabarwienie i porównywa się rysunek — jeśli to jest możliwe z rysunkiem drugiego egzemplarza, o ile zaś porównanie takie jest niemożliwe, to do celów porównawczych używa się fotografii.

Filatelistą stara się w tym wypadku o zdobycie fotografii niezarzutu bezcennego okazu, następnie fotografię tę powiększa się. W podobny sposób postępuje się ze znaczkiem, który ma być nabyty. Sporządza się również powiększenie i wtenczas dopiero można przeprowadzić porównanie. Ostatnio porównania robione są w ten sposób, że odbitki, zarówno oryginału jak i domniemanego fałszykatu, sporządzane są na przezroczystych płytkach celulooidowych, a następnie płytki te nakłada się na siebie i dopiero wtenczas można stwierdzić niezawodnie identyczność rysunku.

JAK WZBOGACIĆ SKARB PAŃSTWA

Fałszowanie znaczków pocztowych jest zjawiskiem prawie tak samo częstym, jak zjawisko podrabiania pieniędzy, przyczem oczywiście podrabia się tylko znaczki cenne i rzadkie. Niedawno zdarzyła się niezwykle sensacyjna afra.

Przed wojną jeszcze pewne państwo egzotyczne w Afryce puściło w obieg znaczki pocztowe. Był to zresztą — trzeba dodać — pierwszy znaczek, jaki emitowano w tym państwie. Trzeba jednak trafiać, że monarcha państewka wkrótce potem zmarł.

a jego następcy zaniechali kontynuowania emisji. Z tej więc przyczyny znaczki te były niezmiernie rzadkie i nabrały olbrzymiej ceny. Na całym świecie było ich może conajwyżej sto kilkadziesiąt, a ponieważ niektóre były bardzo zniszczone, więc stały się naprawdę rzadkością.

I oto, co się okazało? Ni stąd ni zowąd pojawił się obecnie zagranicą pewien czarnoskóry dżentelmen, który zaproponował pewnemu filateliście nabycie takiego właśnie znaczka. Cena była dość słona, ale ponieważ była to okaz rzadki, więc filatelistą nabył go bez protestu. Trzeba dodać, że filatelistą ów nie był jedynym szczęśliwcem, któremu udało się nabyć ów okaz. Murzyn, jak się później wydało, miał do sprzedania większą ilość tych znaczków i rozprzedał je prawie we wszystkich krajach europejskich.

To już było zupełnie zastanawiające, gdyż ilość znaczków rozprzeczanych przez murzyna przewyższała znacznie liczbę tych, które mogły być poszczone w obieg przez murzyńskie państwo. Zainteresowano się więc tem. I cóż się okazało? Wbrew początkowym podejrzeniom, znaczki nie

były fałszowane — były najprawdziwsze w świecie. Ponadto, jak stwierdzono dalej, w istocie pochodziły z owego państewka. Dalej — jak wyszło najaw — drukowane były nawet w owym państewku i korzystano przytem z tej starej, oryginalnej tabliczki drewnianej — drzeworytu, który służył do odbijania owych dawnych znaczków.

Z WIEDZĄ MONARCHY

Ale to jeszcze nie wszystko. Poza tem bowiem ujawniła się rzecz najzabawniejsza na świecie, mianowicie okazało się, że drukowanie znaczków odbywało się nie tylko z wiedzą, ale nawet na zlecenie obecnego władcy, który do wiedziawszy się, że znaczki z okresu panowania jego przodka są tak niezwykle cenne, postanowił wzbogacić skarb państwa i wobec tego polecił wybić ich większą ilość, a jako agenta, któryby się zajął ich rozprzeczaniem na terenie Europy, wybrał swego rodzzonego brata. Afra jednak wydała się i czarną księgą wrócił do ojczyzny. Coprawda, mimo wszystko, przywiózł z sobą sporo gotówki, gdyż jednak żaden z nabywców nie chciał się już rozstać z zakupionym okazem, który tak pięknie wzbogacił jego zbiory.

Radjostłuchacze, jesteście potęgą!

Wszyscy abonenci powinni odpowiedzieć na ankietę Biura Studiów P.R.

Siedzący ze słuchawkami na uszach lub przed głośnikami i płacący sumiennie trzy złote miesięcznie, nie zdawali sobie sprawy z tego, jak ich zbiorowa siła rośnie, jak powoli stają się olbrzymem, z którym trzeba się poważnie liczyć. Ten i ów coś napisał, chwalił, prosił, protestował — ale to wszystko, wobec ogromu całej rzeszy słuchającej w milczeniu, było slabiutkim głosiłkiem, a w dodatku rozproszkowanym na rozmaite drobniaki i nie dającym poglądu na całość oceny polskiej radjofonji.

Z okazji obaw o „Wesołą lwowską falę” okazało się, że słuchacze potrafili przemówić mocno i jednolicie. Tysiące telefonów, listów zbiorowych i jednostkowych — wyraziło dobitnie wolę radjostłuchaczy. Chodzi o to, aby to nie był tylko słomiany ogień, aby ten napór opinii na kierownictwo rozgłośnictwa rozciągnął się na

wszystkie dziedziny i uzyskał stały wpływ.

A oto jest sposobność dla wszystkich do wypowiedzenia się o całości programu radjowego: Biuro Studiów P. R. ogłosiło ankietę z prośbą o wyrażenie życzeń radjostłuchaczy. Ankietę obejmuje wszystkie audycje — niestety, została rozsełana tylko części abonentów i każdy, kto jej nie dostał, musi się o nią upomnieć w najbliższej rozgłosni. Niechaj więc nikt tego nie zaniedba! Każdy odpowiadający na ankietę powinien namówić kilku znajomych radioabonentów na to samo.

Na szczególną uwagę zasługują dwie ostatnie rubryki druku ankiety (37-ma i 38-ma), gdzie chodzi o porę słuchania radja. Miejsce na uwagi na końcu nadaje się w związku z temi rubrykami na zaznaczenie, jakie audycje chcielibyście mieć właśnie w tych dniach i godzinach, w których

Ryby i szczury

zapadają na chorobę morską

Wobec klasycznego przysłowia, że „czuje się jak ryba w wodzie”, podejrzenie ryby o skłonność do morskiej choroby brzmi zgoła paradoksalnie.

A jednak, kto by pomyślał? Otóż, słynny biolog Mackenzie, badacz fauny podmorskiej, skonstatował, że podczas przewożenia na statku najróżniejszych ryb, wydobytych z głębi morza i przeznaczonych do umieszczenia w akwariach instytutu oceanograficznego w Halifax, niektóre ryby czuły się wybitnie źle. Stan ich zdrowia zaniepokoił profesora oraz to-

warzyszających mu innych uczonych i kiedy z zainteresowaniem śledzili przebieg rybich niedomagań, co się okazało? Oto ni mniej ni więcej, tylko konstataowano objawy choroby morskiej.

Kołysanie się statku źle wpłynęło na zdrowie ryb. Poza tem zresztą trzeba wiedzieć, że szczury okrętowe, które podczas pobytu w portach dostają się pod pokład i odbywają potem podróże w charakterze nieposrzedzonych i nie-miłych pasażerów — również ulegają chorobie morskiej.

Psie mięso

jedzą biedacy w Pradze

Praski „Express” donosi: „Okrutna nędza, która gnębi ludność na przedmieściach Pragi, jest tak wielka, że dochodzi do tego, że jedzą oni psie mięso. Powstały nawet specjalne sklepy z psim mięsem, a klientelę ich stanowią ludzie nędzni i wygłodzeni”.

W dalszym ciągu artykułu „Express” donosi, że ceny psiego mięsa nie są zbyt niskie, gdyż kilo kosztuje przeciętnie, licząc na nasze pieniądze, około złotych. Za najlepsze przytem uchodzi mięso psów dwuletnich, które podobno smakiem przypomina wołowinę.

Przemówienie w 8-miu językach

na kongresie fizjologów w Moskwie

Podczas ostatniego posiedzenia międzynarodowego kongresu fizjologów, który odbył się w Moskwie, pewien uczony angielski

wyłosił jedyne w swoim rodzaju przemówienie, które było wspaniałym okazem zdolności lingwistycznych.

Przedewszystkiem więc po złożeniu w języku angielskim podziękowania profesorowi rosyjskiemu Pawłowowi, który przewodniczył kongresowi, uczony przemówił następnie w języku niemieckim, poczem wygłosił szereg zdań w języku francuskim. Skolei przeszedł na język włoski, wspominając o tem, że przedostatni kongres odbył się w Rzymie. Po popisie języka włoskiego, wygłaszał dalej przemówienie w językach: szwedzkim, norweskim, duńskim wreszcie holenderskim i hiszpańskim.

Na zakończenie zaś, wśród podziwu i entuzjazmu kongresistów, wygłosił jeszcze parę zdań po rosyjsku. Ten niezwykle poliglota nazywa się Barger i jest profesorem Uniwersytetu w Edynburgu.

Mozajka narodowościowa

w armji czechosłowackiej

Prasa czeńska ogłosiła statystykę składu narodowościowego armji czechosłowackiej. Według tej statystyki w armji służy: 95.000 Czechów (53 proc.), 40.000 Niem-

ców (22 proc.), 25.000 Słowaków (14 proc.), 10.000 Węgrów (5,5 proc.), 10.000 Polaków, Rosjan i Rumunów.

Zygmunt Jurkowski

41)

Księżycowe interesy

Powieść

Z artykułu dowiedział się, że olbrzymi majątek, który był własnością pani Lubystkowej, wdowy po Kazimierzu Lubystku, nie przypadłby w udziale Antoniemu Lubystkowi, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności, że matka pani Lubystkowej Eufrozyna Aniela (z czego wynika, że zmarła była z domu Anielażówna) nazywała się z domu Lubystkowa, co zdecydowało o pokrewieństwie zmarłej Kamili Anielażówny (z domu) z Antoniem Lubystkiem. Gdyby nie ten przypadek, cała olbrzymia fortuna, przeszłaby na rzesz „Związków, Instytutów, Stowarzyszeń, Kół, Kółek, Lig, Zrzeszeń i inne t. p. cele, które widniały wszystkie prawie wyszczególnione w niedokończonym testamencie. Dziubił dowiedział się również z artykułu, że szczęśliwy spadkobierca nie miał najmniejszego pojęcia o tem pokrewieństwie (bo cóż go mogło obchodzić wreszcie, jak nazywała się z domu matka jego stryjenki?) i że sprawę pokrewieństwa odrzucił młody aplikant adwokacki, niejaki pan Minc, — pewnie żyd — przemknęło Dziubiłowi przez myśl.

Na końcu artykułu przeczytał jeszcze, że spadkobierca uciekł się tak dalece z fortuny, że wypił nadmierną ilość trunków skutkiem czego musiano mu wypompować żołądek, aby zapobiec zatruciu.

Przyjawszy to wszystko do wiadomości, Dziubił oddał księdzu gazetę i rzekł:

— Książd dobrodziej znalazł nieboszczkę, panią Lubystkową, a ja za to mam zaszczyt znać pana Antoniego Lubystkę i muszę nadmienić, że jest to skończony balwan, któremu wpadły w ręce te cztery miliony, które... jak to wczoraj książd mówił — miały ura-

tować niejedno istnienie i niejedną łzę otrzeć... Otóż wydaje mi się, że Bóg powołał panią Lubystkową o pół godziny za wcześnie...

— Cicho, cicho, doktorze — przerwał książd z pośpiechem — co innego Bóg, a co innego prawo spadkowe...

— E, niech to wszyscy... — chciał zakląć Dziubił, ale powstrzymał się w porę.

— No, czas do kąpeli! — przypomniał książd, podnosząc się z piasku.

— Doskonała myśl — podchwycił skwapliwie Dziubił.

Nałożyli na głowy gumowe czepek i zbiegli w podskokach do morza, ogarnęła ich woda beżmierna i rozkołysana. Prychali i rzucali głowami, płynąc ramię w ramię i usilowali się prześcignąć wzajemnie. Od czasu do czasu, któryś dawał nurka i znikał na chwilę pod pienistym balwanem, to znów wznosił się za ręce, jak dzieci, podskakiwali zgodnie i unosili się w górę wraz z falą. Spacerując wzdłuż brzegu ludzie zatrzymywali się i spoglądali na nich z uśmiechem. Jeden z widzów wyraził się nawet do drugiego, że obaj kąpiący się panowie przypominają Bóklinowskich Trytonów. Wypływający się w wodzie, aż do zmęczenia, ułożyli się znowu na swoich miejscach za wałem. Dziubił wziął jeszcze do ręki gazetę i odczytał poraz drugi artykuł. Książd leżał nieruchomo, opalał się. Miarowo, jednostajnie oddychało morze. Gdzieś daleko odzywała się mewa żalostnym kwileniem.

Po zbadaniu bezpośrednich przyczyn i skutków katastrofy samochodowej na ulicy W., wyszło na jaw, że jakkolwiek pani Urszula wykazała dużą przytomność umysłu, hamując auto w ostatniej sekundzie, niestety, wraz z hamulcem nacisnęła sprężo i auto zarzucone tyłem na śliskiej jezdni, wywróciło koźla. Przedtem jednak oboje wylecieli z niego, jak z procy. Pani Urszula zatoczyła w powietrzu zgrabny łuk, a pewien jegomość, który widział wypadek z balkonu, opowiadał, że nawet nie przewróciła się, tylko sfrunęła z powietrza na równe nogi — jak ptak — i pobiegła dalej z impetem. Nie potłukła się nawet, ani powalona. Zrobiło to na nim wrażenie efektownej, cyrkowej sztuki. Nieostrożny przechodzień natomiast, pobrudził się bardzo, przewracając się sam z własnej winy. I oto rzecz dziwna, gdy podniósł się z ziemi, ludzie, którzy się zbliżyli na pomoc, spostrzegli na jego czole literę „D”, odcisniętą jak-

gdyby pieczęcią. Długo nie mogli zrozumieć skąd się to wzięło, a pewna służąca podejrzewała nawet, że stał się cud. Po szczegółowym badaniu okazało się, że fabryka opon „Danlipa” umieszcza swoje litery na każdej oponie i koło auta, musnąwszy czoło przedchodnia wycisnęło to osobliwe, reklamowe piętno. Poza tem musiał zapłacić złotówkę kary za nieostrożne przechodzenie przez jezdnię, a że był znanym skapcem, najbliżsi jego znajomi puścili żarcik, że gdyby mu zostawiono do wyboru — zginąć pod kołami auta, czy zapłacić tę karę — to pewnością wybrałby to pierwsze. Najwięcej uciarzał Paweł, który złamał lewy obojczyk i potłukł się bardzo. Przez dłuższy czas musiał leżeć z ramieniem podciągniętym do góry i unieruchomionem w więzach bandażów. Pierwsze pytanie, jakie zadał po odzyskaniu przytomności, dotyczyło pani Urszuli: — Czy żyje?

Lekarze pogotowia uspokoił go, mówiąc, że wyszła z katastrofy cało. Wydało mu się jednak, że mówią nieprawdę i gdy tylko przybiegła do niego Małgosia, błada z niepokojem, prosił ją, ażeby natychmiast dowiedziała się, co się dzieje z panią Urszulą. Gdy zatelefonowała do jej mieszkania, odpowiedział głos męski, że pani Dziubiłowa leży i nie może podejść do telefonu. To zwiększyło jego niepokój.

— Małgosiu, pójdz do niej koniecznie i zobacz czy się jej co nie stało?... — prosił.

Małgosia zdecydowała się pójść.

— Powiem, że jestem jej koleżanką z pensji, to mię chyba wpuszczą... — planowała.

Wybieg był trafny, pani Urszula bowiem nigdy nie była na pensji (wysztalcenie miała domowe), toteż zainteresowała się przybyłą i kazała wprowadzić ją do sypialni. Zaikina nie było i panie rozmówiły się w cztery oczy, a właściwie w trzy tylko, bowiem jedno oko pani Urszuli było zawiązane, a drugie patrzące z pewnym lękiem, miało ciemno — siną obwódkę. Paweł wyczekiwał na powrót Małgosi; gdy przyszyła, patrzył w jej oczy badawczo, bojąc się zadać pytania; odrazu też wyczuł, że Małgosia jest bardzo zmieszana i usiłuje dobrą miną maskować jakieś nieszczęście. Usiadła przy łóżku.

C. d. n.

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony: 6.66.68 (redaktor naczelny), 6.66.65 (sekretariat), 6.66.99 (ogólny). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12 — 13.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691-64. Prenumerata 691-66.
Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.
PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.
PRENUMERATA: miejscowa (z odnoszeniem do domu) i zamiejscowa zł. 2,30 miesięcznie; wydanie D. wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3,30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpal-ty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1,50 zł., episy specjalne — 3 zł., skłaskie — 30 gr. Nekrologia po 3 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.
Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.